

Maurice Leblanc.

## TAJEMNICZE DOKUMENTY.

9

(Ciąg dalszy).

— Ach! już wiem!... — zawołała mała Hermia — teraz sobie przypominam... Oni mówili o niej „stara“... tak, tak... mówili: „stara mnie uprzedziła“...

Genowefa szepnęła zamyślona:

— „Stara“... Któż to może być?... Babuniu, czy ty czasem nie wiesz?... W naszym otoczeniu niema starych kobiet... Czyżby krawcowa?... nie, to niepodobna...

Po chwili namysłu, nie rozumiejąc, powstała.

— Późno już, moje dziecko, twoja siostra pewnie czeka... Nie mów jej nic. Ani twojemu bratu, Juliuszowi, nie mów. Powiedz mi, twój brat jest mechanikiem w Paryżu? Czy tak?

— Tak, proszę pani — ale chwilowo jest u nas w Marnes.

— Pójdę zobaczyć się z nim jutro rano... Ale broń Boże nie mów mu o tem... I bądź spokojna, ja mu nic o tem nie powiem.

Poszła ku drzwiom.

— Genowefo! — zawołała pani Ernemont.

— Słucham, babuniu.

— Otóż chcę ci powiedzieć, że to szwaczka niewątpliwie.

— Myślisz? Pomówimy o tem za chwilę... Pani — zwróciła się do księcia — pan nie lubi podziękowań. Ale czy przynajmniej pozwoli mi pan okazać sobie moją wdzięczność i zajdzie pan do nas kiedy?

Książę Sernin obiecał, że przyjdzie następnego dnia wieczorem o tej samej godzinie, co dziś. Genowefa wyszła, odprowadzając małą. Staruszka stała jeszcze chwilę, chwiejąc się całą; twarz jej się kurczyła i drgała. Aż nagle skoczyła do księcia, chwyciła go za ramiona i wybełkotała wśród łkania.

— To okropne... to szkaradne... to niegodne, to, co ty mi robisz kazesz!... Przecież ja jestem porządna, uczciwa kobieta!... Ach, jak ty możesz, jak możesz!... Czy ty wcale nie masz serca?

## IV.

Spokojuie, bez wszelkiej szorstkości, książę Sernin odjął jedną po drugiej ręce, które go trzymały i sam z kolei pochwycił staruszkę za ramiona, posadził ją w fotelu, nachylił się ku niej i najspokojniejszym w świecie głosem rzekł:

— Moja broda!

Staruszka usiłowała uwolnić się.

— Tak, tak... okropne!... szkaradne!... Gdybyś ty ją tak znał, jak ja! Anioł dobroci!... Drugiej takiej wprost na świecie niema!... Czyż ty doprawdy nie masz serca ani trochę? Zastanów się...

— Już dawno się zastanowiłem.

— No i co?

— To, że mnie nudzisz!

I wzięwszy kapelusz wyszedł, zostawiając panią Ernemont jęczącą w swoim fotelu.

Książę Sernin wsiadł do swego automobilu, czekającego na gościńcu.

— Palace-Hotel — rozkazał szoferowi. — Jedź czwartą szybkością.

W kwadrans później maszyna stanęła przed bramą hotelu. Trzy osoby czekały na księcia w pokoju, który zajął nazajutrz po spełnieniu morderstwa na osobie Kesselbacha. Był to jeden z tych pokoi na pierwszym piętrze, przed drzwiami których znaleziono zwłoki Chapmana.

— Prędko — rzekł, wchodząc i widząc te trzy osoby — spieszmy się, bo nie mam czasu. Varnier, czyś z Juliuszem zabrali maszynę z drogi?

— Zabraliśmy, wodzu, i odprowadziliśmy ją do garażu.

— A gdzie jest Juliusz?

— Wrócił do domu.

— Więc niechże się z domu wyniesie na jakie dwa tygodnie.

— Jaką mam mu podać przyczynę?

— Żadnej mu nie potrzebujesz podawać. Po prostu mu tylko i sam sobie powiedz, że jeżeli będzie chciał rozmawiać, to na inny raz wybierzcie bezpieczniejsze miejsce, nie pokój jego siostrzyczki. Ach, jeszcze słówko... Porwanie bardzo dobrze urządziliście... Panie nie podejrzewają niczego... Szczerze wam powinszować mogę!

— Ach, wodzu, pochwała z ust pańskich!...

A przytem... cóż to za radość, żeśmy znów pana odnaleźli i że znów możemy pracować pod pańskimi rozkazami!

— Umykaj, mój chłopcze! Spiesz się!

I zwrócił się do dwóch drugich czekających osób:

— Chwileczkę — zaraz wracam.

Trącił cztery razy palcem w drzwi sąsiedniego pokoju. Drzwi się otworzyły. W pokoju tym znajdowali się dwaj młodzieńcy, ubrani z trochę wyszukaną elegancją, o żywych oczach i sympatycznym wyrazie.

— Jak się macie, bracia Dondeville. Cóż nowego słychać w prefekturze?

— Niewiele nowego, wodzu.

— Pan Lenormand ma zawsze do was pełne zaufanie?

— Zawsze. Po Gourel'u my jesteśmy jego ulubionymi inspektorami. Najlepszy dowód, że umieścił nas w Palace-Hotel i zlecił nam czuwanie nad osobami, które mieszkają na tym korytarzu w chwili morderstwa Chapmana. Co rano Gourel przychodzi i my mu składamy ten sam raport, co i panu.

— Doskonale! Grunt w tem, żebyśmy ja wiedział o wszystkim, co się robi i co się myśli w prefekturze. Dopóki Lenormand będzie w was widział swoich ludzi, jestem panem położenia. A w hotelu nie wpadliście czasem na jakiś trop?

Jan Dondeville, starszy, odpowiedział:

— Angielka ta, która mieszkała naprzeciw obecnie pańskiego pokoju po drugiej stronie korytarza, ta Angielka wyjechała.

— Ta mnie nie obchodzi. Mam moje wiadomości. Ale jej sąsiad, major Parbury?

Bracia wyglądali zakłopotani. Wreszcie jeden z nich odpowiedział:

— Dziś rano major Parbury kazał przenieść swoje rzeczy na dworzec północny na pociąg, wychodzący 12:50, a sam wyjechał automobilem. Byliśmy przy odejściu pociągu. Major się nie pokazał.

— A rzeczy jego?

— Kazał je zabrać z kolei.

— Komu kazał?

— Komisjonerowi.

— To znaczy, że ślad jego zgubiony?

— A właśnie!

— Nareszcie! — zawołał radośnie książę.

Tamci spojrzeli na niego zdziwieni.

— Ależ tak! — rzekł — odkąd jesteście w tym hotelu, mając na oku ludzi, mieszkających na tem piętrze, nie odkryliście nic. A oto jest wskazówka!

— Tak pan myśli?

— Oczywiście. Zabójstwo Chapmana mogło być dokonane tylko w jednym z pokoi tego korytarza. Tam to, do swego współnika, morderca pana Kesselbacha zaprowadził sekretarza, tam to go zabił, tam się przebrał; i współnik też, gdy się morderca oddalił, złożył ciało w korytarzu. Ale kim jest ten współnik? To, że major w ten sposób zniknął, wskazywałoby, że on nie jest obcym tej sprawie. Prędko, zatelefonujcie tę dobrą wiadomość panu Lenormand lub Gourel'owi. Trzeba, aby w prefekturze copędzej wiedziano.

Dał im jeszcze kilka poleceń, dotyczących podwójnej roli inspektorów policyi w służbie księcia Sernina i wrócił do swego pokoju. Dwaj drudzy czekali tam wciąż jeszcze.

— Bardzo pana przepraszam, doktorze — rzekł do jednego z nich. — Teraz panu służę. Jak się miewa Piotr Leduc?

— Umarł!

— O! Spodziewałem się tego, po tem, co pan mówiłeś dziś rano. A jednak biedaczysko prędko się zawiął.

— Wyczerpany był doszczętnie. Jeden atak i po wszystkim.

— Czy nic nie powiedział?

— Nic.

— Czy jesteś pewien, że od chwili, gdy wyrwałem go z rąk Lenormanda, ażeby go oddać w twoje ręce, nikt w klinice twej nie domyślał się, że on jest tym tajemniczym Leduc, którego policya szuka, którego pan Kesselbach szukał także, a którego ja odebrałem Lenormand'owi?

— Nikt absolutnie nie wpadł na tę myśl. Zajmowałem osobny pokój. Poza tem zbadażowałem mu lewą rękę, ażeby nikt nie mógł dojrzeć blizny na małym palcu. Co zaś do blizny na policzku, ta jest niewidoczną pod zarostem.

— I ty sam nad nim czuwałeś?

— Ja sam. I wedle pańskich wskazówek, korzystając z każdej chwili, gdy tylko zdawał się przytomniejszym i wypytywałem go. Ale oprócz niewyraźnego bełkotu, niczego z niego nie mogłem wydobyć.

Książę szepnął w zamyśleniu:

— Nie żyje już... Piotr Leduc nie żyje... Cała sprawa Kesselbacha opierała się oczywiście na nim, a oto zniknął bez jednego objaśnienia, bez jednego słowa o sobie i swojej przeszłości... Mamże się rzucić w tę sprawę, o której dziś jeszcze nic nie wiem? To niebezpiecznie... mogę zatonać...

Zastanawiał się przez chwilę, aż wkońcu zawołał:

— Niechaj się dzieje, co chce, a ja pójdę na przód. Śmierć Piotra Leduc to jeszcze nie powód, ażebym miał porzucić grę. Przeciwnie! Przeciwnie! Sposobność tem więcej nęci. Piotr Leduc umarł — niech żyje Piotr Leduc! Idź, doktorze. Wracaj do domu. Jutro do ciebie zatelefonuję.

Doktor wyszedł.

— A teraz ty, Filipie — zwrócił się Sernin do pozostałego gościa, małego siwowłosego człowieka, w ubraniu garsona hotelowego, ale jakiegoś dzieściornego hotelu.

— Wodzu — zaczął Filip — przypominam, że przeszłego tygodnia kazał mi pan przyjąć miejsce służącego w hotelu „Dwóch Cesarzy“ w Versailles i mieć tam nadzór nad pewnym młodym człowiekiem.

— Tak, tak, wiem... nad Gerardem Beaupré. I cóż z nim słychać?

— Jest już zupełnie bez środków do życia.

— I nosi się ciągle z posępnymi zamiarami?

— Ciagle. Chce sobie życie odebrać.

— Czy ty myślisz, że to jest zamiar poważny?

— Bardzo poważny. Znalazłem w jego papierach tę małą notatkę ołówkiem.

— Tak więc — rzekł Sernin, odczytując kartkę — zapowiada swoją śmierć... i miało się to stać jutro wieczór!

— Tak, wodzu, sznur już kupił i hak wkręcił w sufit. To też, podług rozkazów pańskich, wszedłem z nim w stosunki, a on mi o swoim rozpaczliwym położeniu opowiedział. Poradziłem mu, żeby się do pana zwrócił. „Książę Sernin jest bogaty“ — powiedziałem mu — „i hojny jest; może onby panu pomógł“.

— Doskonale. To znaczy, że ten Gerard przyjdzie?

— Dziś wieczór.

— Skąd to wiesz?

— Sledziłem go. Wsiadł do pociągu, idącego do Paryża, a teraz tam i z powrotem chodzi po ulicy. Lada chwila zdecyduje się wejść.

W tej samej chwili odezwał się dzwonek telefonu. Z biura na dole dawano znać, że jakiś pan Gerard Beaupré pragnie się widzieć z księciem Serninem.

— Niech wejdzie — odpowiedział książę.

Zwracając się zaś do Filipa, dodał:

— Ty zaś przejdź do ubieralni i siedź tam cicho.

Zostawszy bez świadka, książę Sernin szepnął:

— Jakżeż się tu wahać? Sam los mi go przysłał, tego tam...

W parę minut później wszedł do pokoju wysoki młodzieniec, szczupły blondyn, o twarzy wychudzonej i gorączkowym wzroku. Zakłopotany stanął w progu, wahając się — jak zebrak, który chciałby rękę wyciągnąć, a nie śmie.

Krótko trwała rozmowa.

— Pan Gerard Beaupré?

— Tak... tak, to ja.

— Nie mam zaszczytu znać pana.

— Bo to... proszę... bo mi mówiono...

— Kto taki?

— Służący hotelowy... który mówił, że służył u pana.

— Mów pan krótko — o co chodzi?

— Bo to...

Młody człowiek umilkł onieśmielony, zmieszany dumą i wzdurliwą miną księcia. Sernin zawołał:

— Ależ, mój panie, mówże, o co chodzi?

— Bo to, proszę pana... mówiono mi, że pan jest bardzo bogaty... i bardzo wspaniałomyślny... i wyobraziłem sobie, że pan może zechce...

Przerwał, niezdolny wykrztusić słowa prośby i upokorzenia.

Sernin zbliżył się do niego.

— Panie Gerardzie Beaupré, czy to pan wydał tomik poezji, zatytułowany „Wspomnienie wiosny“?

— Tak, to ja — zawołał młodzieniec i twarz mu się rozjaśniła. — To pan czytał te moje poezje?

— Czytałem... Bardzo ładne, te wiersze pańskie, nawet bardzo ładne... przyznaję... Tylko, czy pan myśli, że pan wyżyje z tego, co one panu przyniosą?

— Z pewnością, z czasem... prędzej czy później...